CRASH PARK, LA VIE D'UNE ILE

Crash Park mógłby być tytułem wizji, ledwie dystopijnej, naszego współczesnego świata. Mieszkamy planetarnie w parku katastrof, gdzie wszystko stopniowo upada: Oświecenie – wiek rozumu, postęp nauki i ekonomii pogrążonej w niekończącym się „kryzysie", ideały humanistyczne, a w szczególności sami ludzie. To jest zbiorowe zatonięcie. *Upadek* stał się materią naszych istnień i powoduje, że jesteśmy niezdolni do wszelkiego *powstania*. W reakcji na powtarzane informacje o statkach, które zatonęły my, ocalali, „zaparkowani" na naszych wysepkach bezpieczeństwa, zatrzymaliśmy się oszołomieni, uziemieni, doświadczeni przez katastrofę.

Ale co się dzieje, gdy katastrofa ma miejsce nie *na końcu* nieuniknionego losu naszych ludzkich trajektorii a *na początku*? Co się dzieje po narzuconej katastrofie, po końcu (*kata*) słowa uzgodnionego, przyjętego, zorganizowanego (*strofa*)? Wydaje się, że w teatrze jest to moment poezji, w miejscu, gdzie słowo otwiera się w momencie gdy wychodzi ze swojej unormowanej ramy, aby „nas" wynieść poza granice racjonalności, ku nadmiarowi wyobraźni, bajki i tego co możliwe, choć nieprawdopodobne, ku połączeniu rzeczywistości i fikcji. Ze wszystkimi narzędziami pisarskimi, które znamy u tego wybitnie współczesnego artysty jakim jest Philippe Quesne wydaje się, że tym razem zabiera on nas w podróż między teatrem *archaicznym*, na który sobie pozwala na początku – początku światów, języków, które nie zawsze wyrażają się słowami, obrazów – a doświadczeniem podsyconym teraźniejszością, która zawsze przychodzi po.

W tym paradoksalnym miejscu odnalezionego czasu, obrazy się obracają a wyspa, którą sztuka pokazuje nam w sposób prosty, na której nic się nie dzieje, jakby od zawsze tam była, bez tajemnic, nie jest już wyspą ze współczesnej tragedii, ale raczej małym utopijnym punktem, który się trywialnie zajmuje. Nie ma już *losu*: sztuka rozpoczęła się od katastrofy, a gdy koniec jest na początku to, co możemy docenić, to jakość wspólnego czasu, takiego samego dla wszystkich, który można *zająć zajmując się czymś*. Mali, dziwni ludzie, ocalali z katastrofy lotniczej, mogą nas zatem wciągnąć w swoje próby podejmowania się różnych zajęć, w których, nie odczytując tego jako chęci ich obrony lub wykorzystania do obrony jakiejś tezy, odnajdujemy w zasadzie resztki, pozostałości naszych obecnych utopii, które negatywni sędziowie teraźniejszości zdiagnozowali jednak jako „skończone": tereny zajmowane przez protestujących, tymczasowe miasta zbudowane z kilku domostw (z dżungli, z obszarów o zmienionym przeznaczeniu, z opuszczonych budynków), falanstery przekształcone na skutek prób wspólnego życia, które zasiedlają historię sztuki jak historię mężczyzn i kobiet, świadcząc o formach organizacji mogących *się utrzymać* nie poprzez reguły społeczne ale poprzez prosty fakt, że nam na nich *zależało*. Razem, bez planowania.

Zanim „parkowanie" życia stało się nowym porządkiem świata, w którym pojawiają się nowe granice i dzieli się nas na wysepki oddzielne od siebie strzeżonymi przez policję i wojsko morzami, zanim słowo „park" nie było rozumiane jako „przestrzeń zamknięta" było ogrodem, jak wyspa, o porządku heterotopijnym: „inną przestrzenią", tuż obok nas i którą czasami jacyś nielogiczni i rozmarzeni artyści mogą nas zachęcić do odwiedzenia, zabierając nas nie w kierunku utraconej przeszłości ale do punktu styku nieskończoności „przed" i po, które stało się teraźniejszością, od której możemy zacząć.

Camille Louis, wrzesień 2018 r.